Rok II. № 7.

Przewodnik Społeczny

POŚWIĘCONY SPRAWOM BIEŻĄCEJ CHWILI

DODATEK POPULARNY

DO „HOMILETYKI" I „PRZEWODNIKA SPOŁECZNO-NAUKOWEGO"

Tak do Polski jak do Pana
Iść się musi drogą jedną,
Tą co nigdy nieskalana!..

Z. Krasiński.

SŁOWA PRZESTROGI

na poprawę doli polskich robotników sezonowych w Niemczech.

(Ciąg dalszy)

O moralności polskich rolnych robotników, po części świadczyć mogą cyfry statystyczne, wyciągnięte z księgi chrztów u proboszczów katolickich.

Przeciętnie na każdego niemieckiego, katolickiego proboszcza w niektórych miejscowościach Saksonii i w Hanowerskiem—dokąd podążają polskie dziewczęta na roboty polne—przypada 200 do 300 robotników, rzadko kiedy więcej, tak, że ich jest 500 do 1000. (Więcej robotników polnych znajduje się około Magdeburga, Halli i samego Hanoweru).

Otóż w tych czasach, kiedy opieka duchowna nie była nad nimi tak zorganizowana, jak dzisiaj, zdarzało się w takich parafiach nieślubnych dzieci, przeciętnie 4—5 na rok. W domu, dokąd wracają na zimę—stosunek ten jest stanowczo mniejszy, jak o tem przekonać się można w ich wioskach rodzinnych.

Od roku 1890 biskupi niemieccy opiekę duchowną nad wychodźcami zorganizowali w ten sposób, że raz lub dwa razy na

rok, ksiądz polski objeżdża te parafie, w których są rolni robotnicy polscy, ma dla nich kazania i słucha spowiedzi — do której się zazwyczaj wszyscy garną. Potem z miejscowym proboszczem obchodzą koszary polskich robotników i badają, czy niema jakiego nadużycia lub nieporządków ze strony dozorców lub pracodawców, zapobiegając temu w miarę możności. Gdy się natrafia na stosunki mniej dobre, wystarcza następna uwaga, uczyniona robotnikom:

„A więc napiszemy o tem do waszych księży proboszczów lub rodziców“ i błądzący, jak to stwierdza doświadczenie, często się poprawiają.

Od tego więc czasu, gdy są przez duchownych lepiej dozorowani, obyczajność się podniosła, tak, że liczba dzieci nieślubnych znacznie się zmniejszyła, i teraz przypada na parafię z 200—300 polskich robotników przeciętnie do 3 dzieci nieślubnych na rok. Liczby te wskazują zatem, że zarzut czyniony polskim dziewczętom, idącym do Prus lub na Saksy, że wszystkie są moralnie upadłe, jest wprost niesprawiedliwy, przesadzony i krzywdzący *).

Czy w domu, we własnym kraju, nie zachodzą także wypadki nieślubnych urodzeń? Czy wszystkie dziewczęta na Saksach stały się matkami? Czy naodwrót nie dzieje się iż niejedna upadłszy w domu, umyślnie wybiera się na Saksy, aby swój wstyd pokryć mogła?

Lecz z tych pojedyńczych wypadków trudno wyciągać wnioski mające ogólne znaczenie, co najwięcej można powiedzieć: „na obczyźnie mają więcej okazyi do złego“.—Ale błędnym i fałszywym byłby wniosek—„a więc wszystkie są złe i moralnie upadłe!“

Kiedy tak wiele w tym kierunku pisano i wykazywano złego — niech mi wolno będzie przeciwieństwo tego wykazać również licznymi przykładami.

Celniejsze z nich są:

W roku 1903 pracowałem na Saksach nad Polakami. Kie-

---

*) Sz. autor zbyt pochlebnie przedstawia dziewczęta, które wychodzą zagranicę. Co do nas to przy dwudziestokilkoletniej pracy pasterskiej ani jednego przykładu nie zdarzyło się nam spotkać, aby dziewczyna która chodzi na roboty polne za granice, była dobrze się prowadząca, widać autor na szczęśliwsze natrafiał przykłady. *Przyp. R.*

dy byłem w Delitsch za Lipskiem, telegraficznie zawezwano mnie do ciężko chorej kobiety, Polki, za Dreznem, robotnicy rolnej u koniuszego na saskim królewskim dworze.

Otóż dowiedziałem się wówczas od ludzi polskich, pracujących tam z rzędu już lat kilka, o następującym pięknym uczynku owego koniuszego. Spłonęły koszary, w których mieszkało około 120 polskich dziewcząt, a z nim cały dobytek robotnic, t. j. pieniądze, ubranie i pościel. W krótkim czasie wystawiono nowe mieszkania, pan kazał aby dziewczętom wypłacóno utracone w ogniu pieniądze i straty poniesione w spalonych szatach i pościeli. Gdy dziewczęta wciąż jeszcze się żaliły i płakały nad poniesioną stratą — zapytał się pan, czegoby jeszcze chciały — a one odrzekły płacząc: „spaliły się też nasze różańce i książki do nabożeństwa". Koniuszy udał się w sąsiedztwo do znanej w Niemczech katoliczki hrabiny S. i choć sam nie był katolikiem, zakupił przez nią dla polskich dziewcząt 120 książek do nabożeństwa i tyleż różańców, poświęconych następnie przez miejscowego księdza katolickiego. Radości nie było końca i znów zabrzmiały w mieszkaniu pobożne pieśni i co wieczór śpiewano różaniec.

O tych dziewczętach sam pan powiedział, że nawet najwyuzdańsi parobcy luterscy wielce je cenili i żaden ich nie śmiał zaczepić.

Lecz nie tylko jeden taki wypadek mogę przytoczyć, znam ich więcej. I tak koło Köthen (Anhalt) był również wielki dwór— gdzie było około 50—80 dziewcząt polskich z Poznańskiego i Prus Zachodnich. Te po robocie, co wieczór, śpiewały cząstkę różańca, a tak były obyczajne i karne, że każdego mężczyznę z koszar wypraszały—a jeśli był uparcie niegrzecznym—wprost wyrzucały. Podobny los spotkał nawet samego inspektora dóbr tamtejszych, który widocznie chodził za jedną z dziewcząt. Potem gromadnie poszły do samego pana z zażaleniem, że jeśli inspektora nie zmieni, wszystkie pracę porzucą, i to pomogło— inspektora usunięto.

Piękny ten zwyczaj odmawiania różańca po pracy wieczorem, coraz więcej się zakorzenia wśród polskich dziewcząt, pracujących na Saksach.

W roku 1906 pracowałem w Hanowerskiem, gdzie przeważnie byli ludzie z Królestwa Polskiego, prawie wszyscy mieli ten piękny zwyczaj odmawiania przynajmniej jednego dziesiątka z różańca. Z tem nabożeństwem podniosła się znacznie moralność.

Tym, którym te pobożne argumenta nie wystarczają, niech posłużą inne, ściśle fizycznej natury. Proszę nie zapomnieć o tem, że od wczesnej wiosny do późnej jesieni, a więc przez 9 miesięcy, ludzie ci, codziennie się odżywiają tylko kartoflami—może raz lub dwa razy w tym czasie kupią sobie kawałek mięsa. Zważywszy więc z jednej strony liche odżywianie się—z drugiej ciężką pracę — od świtu (pracują od 5 rano a wstają o 4 do wieczora 7—8), a nieraz przy pracach akordowych do 9 i 10 w nocy, każdy bezstronnie myślący przyznać musi, że nawet natury mniej powściągliwe, tak są umęczone i wycieńczone taką pracą, iż wróciwszy od pracy wieczorem, rzucają się w ubraniu na łóżka swoje i tak—jak kłoda leżą do świtu dnia następnego, spoczywając snem kamiennym.

Gdzież zatem wobec takich danych mowa być może o masowem zepsuciu polskich dziewcząt?

Z pojedyńczych zaś wypadków sądzić o wszystkich źle, byłoby błędem logicznym i straszną krzywdą dla polskich dziewcząt, z których wiele jest tak uczciwych, że nawet do zakonów wstępują wprost ze Saksów.

Tak więc sądzę, że z tym największym i najbardziej krzywdzącym zarzutem już się uporaliśmy. Dodać jednak trzeba, że prawdziwie zły wpływ znać na chłopcach, którzy na zimę nie wracają do domów, lecz zarobek cały przetrwaniają — a potem chcąc wrócić do ojczyzny, okradają dziewczęta z pieniędzy. O ile ich na tem żandarmerya przychwyci—zapełniają potem więzienia.

Gdy zaś zestawimy korzyści i szkody owej czasowej emigracyi do Prus, to korzyści są następne:

a) Ustawiczny dzienny zarobek przez 9 miesięcy — czego u siebie w domu nie mają.
b) Przyzwyczajają się do pracy systematycznej i stają się przez to dobrymi robotnikami.
c) Widzą obce kraje, innych ludzi, inne zwyczaje i uczą

się z konieczności języka niemieckiego—tak, że to bądź co bądź wpływa na nich dodatnio i kształcąco.

Szkody zaś są:

a) Jednostki moralnie i fizycznie słabe, giną przy tym żywiołowym ruchu narodów.

b) Wskutek lichego odżywiania się zapadają niekiedy epidemicznie na tyfus.

Stąd przestroga, aby rodzice, co często czynią z chciwości, dzieci nierozwiniętych i słabych na Saksy nie brali lub nie wysyłali.

Krzywdy, jakich pojedyńcze jednostki doznają—nie można uogólniać. Wobec tego, korzyści stanowczo przeważają szkody stąd wynikające. Pomijam tu tych, którzy na stałe w Niemczech zostają, żeniąc się tam lub wychodząc za mąż za Niemców. Z robotników polnych tylko mały procent tam się osiedla może 5 na tysiąc.

Wykazałem rzeczywisty stan rzeczy wychodztwa do Prus i na Saksy. Wobec trudnych warunków, jakie dla Polaków w Niemczech powstały—trzeba koniecnie uznać i przyjąć, że ruch ten, dziś już żywiołowy, powstał z biedy i nędzy wśród warstw robotniczych wiejskich w całej Polsce.

Dlatego nie należy tego ruchu zwalczać, bo najpierw niktby temu nie podołał, a powtóre każdy czyniący to, wziąłby na siebie odpowiedzialność zaradzeniu nędzy u setek tysięcy biedaków, idących na obczyznę głównie za chlebem.

Mimowoli więc nasuwa się myśl, że ruch ten trzeba na razie we właściwych granicach umiejętnie popierać—aby wpłynąć na polepszenie doli wychodźców do Niemiec.

Zważywszy warunki, w jakich polscy robotnicy rolni emigrują do Prus lub na Saksy, dochodzi się do przekonania, że jak pracodawców niemieckich, tak i robotników polskich jakaś żelazna konieczność łączy ze sobą na polu ekonomicznem, mimo wielu istotnych różnic jak pod względem narodowościowym, tak też i religijnym. Tak jest; „dura necessitas", jakaś żelazna konieczność zniewala rolników niemieckich do ratowania się przed zastojem, nawet bankructwem agrarnem, przez owych znienawidzonych i wzgardzonych polskich robotników polnych.

Niemieckich sił roboczych do wykonywania prac polnych dziś w Niemczech już niema wszystko pochłonęły fabryki i przemysł.

Dziś nawet owi górale z Eichsfeldu mają fabryki cygar, w których niemieckie kobiety i dziewczęta, lepszy mają zarobek, niż dawniej przy robotach polnych. Tak samo wychodztwo z Turyngii i innych części Niemiec ustało, bo wszędzie zakwitł przemysł fabryczny.

A przecież ktoś musi pracować nad ziemią i te setki morgów gruntu niemieckiego rok rocznie uprawiać, aby nie stały odłogiem, i aby mimo tak rozwiniętego przemysłu nie zapanował głód w Niemczech lub niebywała drożyzna. W tem też leży przyczyna, dlaczego mimo tak głębokiej nienawiści do Polaków—skwapliwie ich poszukują do prac rolnych, gdyż inaczej grozi im kompletna ruina w rolnictwie.

Dziwny stosunek i dziwne zrządzenie Opatrzności, prawie w tym samym stosunku, o ile ich nienawidzą—o tyle ich potrzebują! Biedny nasz lud roboczy sam to już spostrzegł i wprost mówi: „Któżby im pracował w polu, gdyby nas nie było“? Widzą to i Niemcy i mimo wszelkich usiłowań nie mogą temu zaradzić, nie mogą się z pod tej zależności od polskich rąk roboczych wyswobodzić, i to wytworzyło ową żelazną konieczność posiłkowania się polskim robotnikiem. Widzą to i z lękiem spoglądają na ów rzeczywisty stan rzeczy, że niemieckie rolnictwo podtrzymują Polacy.

Chcieli temu zapobiedz i zastanawiali się nad tem, czyby nie było korzystnem sprowadzić do wykonywania prac rolnych Chińczyków. Jednak lęk przed żółtem niebezpieczeństwem odwiódł ich od tego.

Inni znów zastanawiali się nad tem, czyby do pracy nie można sprowadzić murzynów z kolonii afrykańskich? Ale przyszli do przekonania, że to trąciłoby niewolnictwem, co w XX wieku jest już niemożliwem.

Wreszcie mieli ich z tej niemilej sytuacyi wyrwać Rusini galicyjscy, którzy z niechęci do Polaków ogłosili się „przyjacielami niemców“. Mieli oni przez swoich księży rozwinąć agitacyę wśród ludu i zachęcić ich do emigracyi na Saksy. Lecz

projekt upadł bo zamiast 70,000 robotników polnych, dostawili zaledwie kilka tysięcy. W całem Hanowerskiem, tylko w jednej fabryce w Ueltzen pracowało ich około 30. Przyjechał do nich ksiądz ruski, aby zaspokoić ich duchowne potrzeby.—Mimo tego ruchu braci Rusinów, możemy wnioskować, że polskim robotnikom konkurencyi nie zrobią, a to dlatego, że tak wielki jest brak robotników w Niemczech—iż gdyby nawet 100,000 robotników rzuciło do Niemiec a nie owych obiecanych 70,000—to i to jeszczeby nie wystarczyło.

(Dokończenie nastąpi).

RODZINA CHRZEŚCIJAŃSKA.

(Ciąg dalszy)

Cisza domowego ogniska.

Ogrodnik rzuca ziarno w ziemię, aby w ciszy i spokoju kiełkowało, rosło i plon obfity wydało. Wszystko co dobre i szlachetne do wzrostu potrzebuje spokoju. W sercu pozbawionem grzesznej namiętności, rodzi się cnota i dobre dążności, i stąd święci Pańscy, stronili od zgiełku świata, wiedli żywot pustelniczy, rozważając wielkość Boga i czerpiąc w modlitwie pokarm dla duszy. Nie każdemu z nas dozwolonem jest pędzić życie na wzór owych świętych mężów, ale wszyscy wiemy, że od czasu do czasu, trzeba nam oderwać się od świata, skupić się w sobie i o duszę się troszczyć.

Jako cnota wzrasta w zaciszu, tak i wiedza wymaga skupienia. Nie na rynku hałaśliwym, nie na ulicach miast, nie wśród warczących kół fabryki, ale w ciszy domowej rozszerza uczony swój widnokrąg wiedzy i nowe czyni odkrycia. Zazwyczaj ludzie uczeni są małomówni, świat pusty i hałaśliwy często ich pomija, nie poznaje jak wzniosły duch mieści się nieraz w niepozornej powłoce ciała. Św. Tomasza, męża wielkiego rozumu, dla jego małomówności nazwano: „wołkiem cichym“. Stara to prawda, że gdy człowiek szuka rozrywek, zabaw, zatraca ochotę do pracy jak nad ciałem tak i nad duszą. Dziś zastanowimy się nad cnotą ciszy domowego ogniska rodziny chrześcijańskiej. Szczególniej w naszych

czasach jest to przedmiot wielkiej doniosłości, od niego bowiem zależne jest błogosławieństwo Boże.

I.

Spokój domowego ogniska jest przedmurzem wobec nawałnicy grzechów. Grzech bowiem i namiętność są źródłem, z którego płynie jad trucizny do rodzin chrześcijańskich. Grzech nieszczęście i zamęt weń wnosi i czyni ją piekłem na ziemi. Wspomnimy tylko na to, co czyni nałóg pijaństwa, chęć używania i rozpusta, czyż nie sprowadza cierpień, nędzy, upadku, jak dla grzeszącego tak i dla całego otoczenia? Pijak, jako zwierz rozbestwiony rzuca się po mieszkaniu, katuje żonę i dzieci, miota obelgi i przekleństwa; rozpustnik marnuje zdrowie, siły, doprowadza rodzinę do nędzy. Ileż rodzin mogłoby się zwać szczęśliwemi, gdyby nie nurzały się w grzechu! Pogrążyli się w grzechy, i oto życie ich jest pełne bólu, łez i przekleństwa Bożego.

Zbytnie przywiązanie do świata, nierządna skłonność do uciech, sprowadza grzech w rodziny. Silne narkotyki tracą swój zapach i moc, gdy się je pozostawi otworem. Toż samo dzieje się z członkami rodzin, którzy zanadto hołdują światu. Myśl się rozrzuca i nie umie objąć przedmiotów. Łatwo się człowiek przyzwyczaja do wygód i przyjemności, rozpieszcza się, gnuśnieje, lęka się pracy i wytężenia umysłu. Jeżeli chcemy się ustrzedz grzechu, należy być gotowymi na obronę i walkę. Bez szczerego postanowienia, nie odniesiemy zwycięstwa, nie pokonamy złych namiętności, które drzemią na dnie duszy.

Gdy rodzina chrześcijańska zbyt jest oddana światu i ludziom, zmienia też swe poglądy, zasady i przyzwyczajenia. Wciska się nieznana im dotąd chęć używania, chętnie uczęszczają na tańce, do gospód, i na inne niebezpieczne zabawy. Cokolwiek tam widzą i słyszą, pobudza ich zmysły, budzi żądze, psuje charakter, czyni duszę i serce obojętne na sprawy religii i moralności. W gospodach spotykasz ludzi całkiem odmiennych przekonań, drwią oni z twej wiary, szydzą z Boga, a w swej iście szatańskiej zaciekłości, nie tylko sami Bogu wypowiadają służbę, ale pociągają innych do grzechu. Zawierasz przyjaźń, która staje się z czasem zgubą dla ciebie, czyż wobec tego dziwić się można, że węzły rodzinne się rozluźniają, a grzech w niej bierze panowanie? Wielu mężów, ojców, synów pełnych dobrych przymiotów, popadło lekkomyślnie w szpony złych ludzi, zapomnieli o swych obowiązkach i dziś hańbą są dla rodziny.

Ileż niewiast oddanych zabawom stały się niewiernemi mężom, opuściły dom i dziatki, zatracając wszelkie poczucia macierzyńskie?

Rodzice nie dosyć czuwają nad rozwojem moralnym dzieci; zaledwie opuszczą ławę szkolną rozpoczynają życie, które prowadzi do upadku. Jakież jest zachowanie sług naszych? Rodzina nie uważa służby za należącą do domowego ogniska, nieraz tamuje im możność wypełniania obowiązków religijnych, lub pozostawia ją bez dozoru i opieki. Czyż młoda dziewczyna nie jest wystawioną na rozliczne pokusy? czyż nie należy, aby gospodyni domu strzegła i czuwała nad jej zachowaniem? Jeżeli chlebodawca czas wolny od pracy spędza poza domem, czyż może roztoczyć sumienną opiekę nad domem, dziatkami i służbą? Widzimy więc, jak bardzo potrzebne jest życie umiarkowane, pobożne w rodzinach, bo wtedy nie ma grzech przystępu, wtedy nie słyszą mów bezbożnych, nie słyszą bluźnierstw, ani nie przejmują się złym przykładem. Szczęśliwy dom, szczęśliwe dziatki, które w starości przypominają sobie błogie chwile spędzone w latach dziecięcych, w domu ojcowskim!

Dom rodzicielski staje się źródłem błogosławieństwa Bożego. I z niego czerpią dziatki radość i zadowolenie. Spotykamy ludzi ponurych, zawsze niezadowolonych, skąd to pochodzi? Bo zapominają słów apostoła „radujcie się w Panu"! Zapomnieli, że prawdziwa radość wypływa z ciszy i zadowolenia serca. Chcą zagłuszyć niepokój serca zgiełkiem świata, w rozkiełznanej zabawie szukają uspokojenia nerwów. Ale go nie znajdą! Św. Bazyli powiada: „Samotność jest rajem radości" Najszczęśliwszych ludzi znajdujemy wśród zakonników, pustelników, w rodzinach żyjących w pracy i umiarkowaniu. Tam przebywa miłość wzajemna, ufność, braterstwo, pogoda umysłu, wzajemna pomoc w nieszczęściu. Jeden dopomaga drugiemu w niesieniu jarzma, jeden pragnie drugiego uszczęśliwić! Tam praca nie wydaje się ciężką, ubóstwo nie wywołuje szemrania, nie znają co zazdrość, zemsta i chciwość. Tam wieczór staje się świętem rodzinnem, bo zgromadza jej członków na wspólne czytanie, modlitwę lub pogawędkę. Zaciszniej i lepiej im, niż wśród brzęku szklanic w hałaśliwej gospodzie. W rodzinie prawdziwie chrześcijańskiej krzewi się cnota. Dlaczegoż nie sadzimy pięknych kwiatów na drogach publicznych? Bo pył przydrożny zbrukałby ich kolor, a przechodzień zerwałby je lub zniszczył. W ogrodzie zamkniętym są pewniejsze i mogą rozkwitnąć w całej pełni. Toż samo dzieje się z cnotą. Gdzie zanikł spokój w rodzinie, gdzie niema łączności i harmonii między ojcem a matką, synami i córka-

mi, gdzie każdy na swój sposób chce życia używać, tam cnota nie wzrasta. Tam zanika wszelka myśl wzniosła, wszelkie poczucie piękna, tam niema rozpoznania sprawiedliwości, odróżnienia co dobre a co złe, cnota nie znajduje uznania, grzech się szerzy. Prawdziwa cnota wrasta tylko w rodzinie pobożnej i zacisznej, o czem wiedzieli już święci Pańscy, którzy tak bardzo umiłowali spokój i unikali zetknięcia się ze światem. Jezus przez trzydzieści lat daje nam przykład życia zacisznego, będąc Bogiem, a więc samą doskonałością, nie potrzebował się przysposabiać do swego publicznego wystąpienia. A jednak umiłował ciszę, samotność i pracę, żyje wśród pobożnej Rodziny w Nazarecie, oddany Bogu i bliźniemu. Spojrzyj naokoło siebie. Gdzie znajdziesz cnotę czystości, dobre obyczaje, miłość, łagodność, cierpliwość, posłuszeństwo? Tylko w rodzinach cnotliwych, oddanych Bogu i służbie ojczyzny. Jeżeli więc chcemy odnowienia obyczajów, dawnej zgody, pobożności i cnót, jakie zdobiły rodziny naszych pradziadów, odnówmy ogniska domowe, umiłujmy ciszę i spokój! Jeżeli dziatki mają wyrosnąć na ludzi zacnych i Bogu miłych, trzeba zmienić sposób wychowawczy, trzeba od maleńkości czuwać nad niemi, ćwiczyć je w dobrem, uczyć wypełniania obowiązków względem religii i kraju, trzeba je w miarę potrzeby skarcić, bo Pismo św. powiada: *Nie odejmuj od dziecięcia karności, bo jeśli go ubijesz rózgą nie umrze, ty go ubijesz rózgą, a duszę jego z piekła wybawisz* [1].

Rodzice powinni być przykładem dla domowników, drogą prowadzącą do nieba. Proście Boga codziennie o błogosławieństwo dla domów waszych.

W końcu, jeżeli pragniemy dobrobytu na ziemi, musimy pilnie strzedz ogniska domowego. Życie wesołe wiele pociąga kosztów, czasu, pieniędzy i zdrowia. Zrujnujesz zdrowie, podkopujesz byt rodziny, doprowadzasz ją do nędzy. Ileż rodzin ongi zamożnych dziś całkiem w nędzy i zapomnieniu pogrążonych, bo szukały szczęścia poza progami domowego ogniska, zamiast oszczędnością, i pracą, przyczynić się do dobrobytu rodziny.

Rodzice powinni przyczyniać się do uprzyjemnienia dzieciom pobytu w domu, trzeba dać dziatwie i domownikom godziwą rozrywkę, wypoczynek, dobrą książkę, aby miłą o domu zachowali pamięć. Rodzice dbać powinni o porządek domowy, niechaj będzie ubogo ale schludnie naokół, bo wtedy dziecię chętnie przepędzać będzie czas

[1]) Przyp. XXIII, 13.

wolny w domu. Rodzice mają krzewić wiarę w sercach domowników, uczyć ich miłować Boga i Jego sługi, a wtedy domy rodzinne staną się przybytkiem szczęścia i spokoju! (*Ciąg dalszy nastąpi*).

SCHRONISKO DLA TRĘDOWATYCH
NA MADAGASKARZE *).

Działalność O. Beyzyma na Madagaskarze jest znaną nie tylko w całej Polsce, lecz i w innych europejskich i nieuropejskich krajach; pomimo tego podajemy kilka słów czytelnikom naszym o schronisku dla trędowatych, założonem przez O. Beyzyma w Maranie w okolicy miasta Fianarantsoa, stolicy Betsileów na Madagaskarze, ponieważ obecnie jest już ono na ukończeniu. Fundacya ta, znajdująca się w obrębie misyi OO. Jezuitów prowincyi tuluzkiej, do niej wprawdzie należy, lecz powstała z inicyatywy członka polskiej prowincyi, O. Beyzyma i z jałmużn otrzymanych przezeń prawie wyłącznie z Polski, Litwy i Rusi. Historya tej fundacyi jest bardzo interesującą i pouczającą zarazem, a ponieważ niewielu w szczegółach jest znaną, przeto podajemy ją, co pewnie zainteresuje ogół czytelników.

Pierwsza myśl poświęcenia się trędowatym powstała u O. Beyzyma z okazyi pobytu w Galicyi ś. p. ks. Wehingera, członka zgromadzenia polskiej kongregacyi dla „Misyi zagranicznych“, zbierającego fundusze na założenie szpitala trędowatych w Mandalay'u, w Birmie (Indo-Chiny), wskutek czytania artykułów zamieszczonych w *Misyach katolickich* o schronisku trędowatych w Mangalorze, i o O. Damianie de Veuster, na wyspach Sandwicz w Molokai. Na prośbę wniesioną do W. O. Generała o pozwolenie poświęcenia się pieczy nad trędowatymi, otrzymał O. Beyzym jeszcze w Chyrowie przychylną odpowiedź z poleceniem udania się do Mangalore w Indyach przedgangesowych, gdzie Ojcowie prowincyi weneckiej posiadają małe schronisko dla tych najbiedniejszych nędzarzy. Gdy czas był do odjazdu, nadeszła odpowiedź od przełożonego misyi mangalorskiej, że schroniskiem tamtejszem już się opiekuje jeden z Ojców, więc

*) „Z Chyrowa“ Ks. M. Czermiński.

ofiara O. Beyzyma zbyteczną. Lecz O. Beyzym, czując się powołanym przez Boga do tego rodzaju poświęcenia heroicznego, postarał się o nowy posterunek dla siebie a mianowicie na Madagaskarze, gdzie Ojcowie T. J. prowincyi tuluzkiej mieli schronisko trędowatych w Ambahiworaka, dwie godziny pieszej drogi odległe od Tananariwy, stolicy prowincyi Imeryny, a zarazem całej wyspy. Pod koniec wakacyi w r. 1898, wyjechał O. Beyzym z Chyrowa.

Z Krakowa wyjechał O. Beyzym d. 17 października r. 1898, stanął w Tuluzie 21 tegoż miesiąca; wyjechał z niej via Marsylia 10 listopada na okręcie Oxus; od 21 listopada do 2 grudnia spoczywał na okręcie ugrzęzłym w skałach koralowych; następnie w Majundze przesiadł się do innego parowca, płynącego do Malwatanany, skąd drogą pieszą na filanzanach zrobił 344 klm., zanim się dostał 30 grudnia do Tananariwy. Tutaj zatrzymał się 1½ miesiąca, aby wyleczyć się z febry i poduczyć trochę języka Malgaszów; 2 lutego w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej już pierwszą miał Mszę św. w schronisku, a 15 lutego na stałe się do niego przesiedlił. Opisuje je temi słowy: „Całe schronisko składa się z czterech ogromnych baraków, kościołka i mego mieszkania. Kościołek w środku, tuż obok mój domek, a po dwa baraki po obydwu stronach. Chorych mam 159“. Ubóstwo i nędzę zastał tam tak wielką, że w kościołku, bez sufitu, przez szpary dachówek przemakalnych woda deszczu dostawała się na ołtarz. Podłogi, ławek wcale w nim nie było. Trędowaci otrzymywali z funduszów tamtejszej misyi po jednym litrze ryżu na... tydzień; od rządu wyznaczono im kawałek roli pod uprawę—kto mógł, trochę w niej pracował, inni żebrali, aby z głodu nie umrzeć. Później i tego im rząd francuski zakazał, z obawy, aby trądu nie roznosili po wyspie. O. Beyzym wobec tej nędzy dzielił się swą porcyą z najbiedniejszymi, lecz niewiele mógł udzielić, bo całodzienne jego pożywienie składało „trochę ryżu lub parę jaj (jeśli można było dostać), albo kawałek chleba, lub szklanka herbaty i takiż kawałek chleba, któryby można zjeść na śniadanie w W. Piątek, wcale nie naruszając postu, zupa z ziół tutejszych, to są zwyczajne nasze obiady, tylko nie wszystko na jeden obiad lub kolacyę“.

Co do opieki duchownej jeden z misyonarzy raz w miesiąc przybywał z Tananariwy do schroniska w Ambahiworaka, aby Mszę św. odprawić i wyspowiadać katolików; więcej—dla braku kapłanów nic uczynić misya nie mogła. Zresztą trędowaci mieszkali pomieszani ze sobą: „chrześcijanie z poganami, dzieci ze starszymi w jednej

izbie, wszystko pół nagie, lub wcale bez koniecznego okrycia, wskutek czego demoralizacya szerzyła się taka—o jakiej nawet trudno mieć w Europie pojęcie“.

Wobec takich stosunków, O. Beyzym udał się do Tananariwy, aby przedstawić przełożonemu projekt budowy uczciwego szpitala, bo inaczej wszelka praca dla trędowatych staje się prawie bezskuteczną. Gdy O. Superyor powiedział, że misya jest biedną i więcej nie może łożyć na to schronisko, jak dotąd łożyła od r. 1875, t. j. od chwili jego założenia, O. Beyzym ofiarował się czynić starania dla zbierania jałmużn, aby misyi dopomódz. Na to otrzymał odpowiedź: „jeśli postarasz się o fundusz — rozpoczniemy budowę“. Koszta jej obliczono przytem na 30,000 franków. Mając tem samem pozwolenie na zbieranie ofiar — począł O. Beyzym rozpisywać listy w różne strony z prośbą o pomoc.

Tymczasem na Madagaskarze przygody i nieszczęścia jedne po drugich zaczęły się sypać na głowę O. Beyzyma. Pomijając febry, które co kilka tygodni silnemi dawkami chininy wypędzał ze swego organizmu—większą klęskę sprawiły nawałnice w dniu 3 marca 1900 r. i parę miesięcy później, które nie tylko zniszczyły znaczną część skromnych zapasów biednych trędowatych, ale też zalały ich mieszkania, lecz najdotkliwiej dały się uczuć kościołowi—bo runął—i tylko gruzy zeń zostały.

Ratować od śmierci głodowej Malgaszów, poprawić ich nędzne mieszkanie, zająć się urządzeniem prowizorycznej kaplicy—było najpilniejszem zadaniem. Gdy z tem się załatwił, oto X. Bardon, przełożony całej misyi madagaskarskiej, opowiada X. Beyzymowi, że jakkolwiek już zebrał 30,000 franków, to mylnie go poinformowano, że za te pieniądze może stanąć trwałe schronisko; na nie potrzeba 150,000 fr. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiła ta wiadomość na O. Beyzymie. Nie upadł jednak na duchu, bo całą swą ufność położył w Matce Najświętszej; chociaż, po ludzku sądząc, nie mógł się spodziewać, aby tak wielką sumę potrafił zdobyć na cel powyższy za swego życia. Ledwie minęło pierwsze wrażenie bolesnego zawodu, spadła szarańcza na grunta trędowatych, grożąc zniszczeniem skromnych płodów ziemi. Z trudem, lecz ostatecznie udało się O. Beyzymowi przy pomocy trędowatych, sposobem afrykańskim szarańczę rozproszyć, gdy oto nowa klęska zawitała: tak zwane „pchły afrykańskie“, które gnieżdżąc się w ranach trędowatych, a także w miejscach zdrowych, szybkiem rozmnażaniem się nie

tylko boleść sprawiały, ale groziły śmiercią dotkniętym tą zarazą. O. Beyzym, lecząc innych, sam dostał pcheł afrykańskich, których gniazda z ciała swego był zmuszony wykrawywać lancetem.

Na usilne nalegania O. Beyzyma, Ojcowie z Tananariwy rozpoczęli robić poszukiwania za gruntem pod budowę nowego schroniska. Niestety, wszystkie propozycye były nie do przyjęcia, to dla braku wody, to z powodu gruntu zanadto skalistego. Stanęło na tem, że schronisko wybuduje się w prowincyi Betsileo, w pobliżu Fianarantsoa, na gruntach należących do misyi. Lecz nowa przygoda spotkała O. Beyzyma: oto ukąszony przez jakiś owad czy inne zwierzątko, dostał silnej gorączki, ciężko zaniemógł i parę tygodni przeleżał w infirmeryi zamiast oglądać miejsce przydatne pod schronisko w Fianarantsoa. Gdy wyzdrowiał i miał się tam udać, X. Biskup Cazet, wik. apost. środkowego Madagaskaru, zaprotestował, twierdząc: że schronisko powinno stanąć w prowincyi Imerina, a nie w Betsileo. Rozpoczęto więc na nowo poszukiwania za gruntem i znalazł się doskonały, a co więcej, za darmo; administrator obiecał dać ze strony rządu 500 hektarów ziemi dla trędowatych w pobliżu Ariwonimamo. Tak stały rzeczy z końcem r. 1901. Lecz radość nie trwała długo. W dniu 24 września 1902 r. zawezwał X. Biskup Cazet do Tananariwy O. Beyzyma i powiedział mu, że rząd nie pozwala na budowę schroniska trędowatych w okolicy Tananariwy, ponieważ już istnieje rządowe schronisko (naturalnie bez opieki kapłana), w którem się mieści 700 trędowatych. Stanęło więc na tem, że schronisko ma się zbudować w okolicy Fianarantsoa w prowincyi Betsileo, odległej od Tananariwy 8 dni pieszej drogi. W dniu 3 października r. 1902 opuścił O. Beyzym prowincyę Imerinę, udając się do Fianarantsoa, z zamiarem przeniesienia dawnych trędowatych z Ambahiworaki, a umieszczonych obecnie w rządowem schronisku, do nowego schroniska, o ile stan ich zdrowia na to pozwoli.

Nowy swój „posterunek“ tak opisuje O. Beyzym w liście z dnia 12 grudnia 1902 r.: „Koło Fianarantsoa o $^{3}/_{4}$ godziny drogi pieszo od miasta, ma nasza misya schronisko trędowatych. Miejscowość ta nazywa się Marana. Znalazłem tu wszystko, co mnie potrzeba, t. j. wodę, ziemię względnie niezłą, nawet i do uprawy, drzewo i t. d., więc podziękowałem Matce Najświętszej za to i za Jej łaski i pomoc; skoro tylko ustanie pora deszczowa, zaczynam budować. Schronisko, które tu zastałem, bardzo małe, bo tylko 50 przeszło chorych, baraki takie były w Ambahiworaku. Nędza chorych także

taka sama... Miejsce dla mnie bardzo dogodne, bo zupełnie odosobnione, drogi blizko niema żadnej, więc niema przechodniów. Jest malutki niby lasek, właściwie zagajenie z eukaliptusów i kilku innych rodzajów drzew; spokój i cisza taka dokoła, że Kameduli byliby kontenci, gdyby mieli takie odosobnienie, słowem tylko budować i przyjmować nieszczęśliwych trędowatych, ile się da". W dniu 25 stycznia 1903 r. donosi: „robota zaczęta; grunt się niweluje, kamienie ociosują, materyały znoszą i t. d. jak wogóle przy budowie... Tu równin wcale niema, trzeba ścinać góry, żeby budować; stanie schronisko na 200 chorych. Kościół będę się starał ozdobić jak tylko się da najładniej, żeby Częstochowska nasza Mateczka (której obraz wziął Ojciec Beyzym ze sobą z Krakowa) była należycie uczczoną nie tylko u nas, ale i pod afrykańskiem niebem". Zdobi zaś ten kościół O. Beyzym własnoręcznie rzeźbą w drzewie, a wcale udatnie, skoro na wystawę do Paryża wzięto niektóre jego rzeźby, przy których pomagał czarny Malgasz, jako okaz „cywilizacyi Madagaskaru".

Z końcem tegoż roku obydwa pawilony stały już pod dachem, oczekując dalszych robót po ukończeniu pory deszczowej.

Nie licząc więc ofiar nadesłanych O. Beyzymowi bezpośrednio do Madagaskaru, od 9 czerwca 1902 otrzymał on do końca grudnia 1905 w pieniądzach: 109,500 fr. 91 ctm. i 15,100 koron i kilka skrzyń rozmaitych przyborów, naczyń i bielizny kościelnej, rozmaitych przedmiotów dla trędowatych i ich leczenia i t. p. rzeczy. Heroiczne poświęcenie się naszego misyonarza, ufność w pomoc Bożą i opiekę Najświętszej Panny, a przytem energia nie dająca się odstraszyć trudnościami niesłychanemi, skutek też nieoczekiwany w krótkim stosunkowo czasie przyniosły przewyższający o wiele ludzkie rachuby i nadzieje.

Prócz budowy schroniska pomyślał O. Beyzym o urządzeniu warzywnego ogrodu dla trędowatych, aby nie wałęsali się za szukaniem pożywienia poza obrębem przeznaczonego dla nich miejsca. W tym celu kilkadziesiąt hektarów ziemi uzyskał od misyi tamtejszej, zamienił na ogród i otoczył go żywym płotem 2 metry szerokim, do czego użył pnących się róż, które wiją się około drzew zasadzonych w tym celu dokoła ogrodu. Po ukończeniu wewnętrznej strony schroniska, ma zamiar O. Beyzym sprowadzić zakonnice, aby pielęgnowały niewiasty trędowate. Dotychczas wszyscy trędowaci pozostają pod wyłączną opieką O. Beyzyma, który tylko pomiędzy trędowatymi ma pomocników i pomocnice w niesieniu ulgi chorym.

Jak w Ambahiworaku, tak też w Maranie O. Beyzym sam jeden był i jest wszystkiem dla swych „czarnych piskląt“: kapelanem—spowiednikiem—lekarzem—szafarzem i posługaczem—jak się sam tytułuje. Po otwarciu schroniska na wzór europejskich szpitali, jest nadzieja, że znajdą się tacy, którzy dzielić z nim będą pracę, trudy i poświęcenie.

Pomimo rozlicznych zajęć częstej febry i innych chorób, silny organizm O. Beyzyma dotychczas przetrzymał wszystkie kataklizmy. Zapytany, czy nie ma już trądu, dał się zbadać lekarzowi, który orzekł: że jak nie można powiedzieć, że już ma trąd, tak też nie można powiedzieć, że nie jest trędowatym. Zagadkowe dwie plamy na pulsie prawej ręki, powstałe przed trzema laty, powoli rozszerzają się, lecz nie napawają go trwogą, bo oddawna jest zdecydowany na to, co go chyba cudem mogłoby ominąć wśród ciągłego obcowania z trędowatymi.

Panowanie nad gniewem.

Przeciw złości, rzymski Cezar, choć poganin, posiadał dla siebie bardzo skuteczny środek. Gdy gniew nim zawładnął, poczynał liczyć do dwudziestu, i dopiero wtedy dawał odpowiedź; to milczenie chwilowe tak weszło u niego w zwyczaj, że nawet później bez liczenia nie zwykł był odpowiadać natychmiast na stawiane mu zarzuty. Gniew zmniejszał się stopniowo, uspokajały się wzburzone namiętności, i nie stawał się powodem obrazy bliźnich.

Jeszcze lepszym środkiem na uśmierzenie gniewu jest uprzytomnienie sobie słabości ludzkich, lub usprawiedliwienie bliźnich, że niejeden nie miał sposobu pozyskania koniecznych wiadomości dobrego wychowania. Jeżeli słowa Chrystusowe: „miłujcie nieprzyjacioły”, wydają się nam za trudne do stłumienia porywczości naszej, rozważmy przynajmniej dobre strony i przymioty tego, który nas obraża, a wtedy uspokoimy się, a nawet z czasem miłość naszą okażemy bliźniemu.

Redaktor i Wydawca **ks. Maryan Nassalski.**

DRUK. H. NEUMAN W WŁOCŁAWKU